

Wyznała Pani publicznie, i to kilkakrotnie, że nie obchodzi Pani jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej. Nie, to nie. Niemniej 50 lat na scenie, a do tego w tym samym Teatrze Polskim to ładny kawałek historii teatru. Wiadomo, że nazwiska, które włączyła z Teatrem Polskim to najpierwsze polskie nazwiska teatralne. Takich miała Pani kolegów. Wiele zapewne zmieniło się od tamtych czasów czy to w sferze obyczajowej, czy to w sferze kontaktów międzyludzkich, w każdym razie w życiu zakulisowym teatru. W czym upartuje Pani zasadniczej różnicy i z czego ona wynika?

— Szczerze mówiąc wszystko się zmieniło; atmosfera teatru, hierarchia wartości artystycznych, estetyka zawodowa, nastroje, nawet sposób bycia. Wielu z nas tłumaczy to sobie w sposób następujący: skoro dziś z teatru nie zawsze można wyżyć — aktorzy muszą uganiać się za inną dodatkową pracą. Nieraz serial filmowy, telewizja czy koncerty są dla nich jakby ważniejsze. To rozbicie, ten szczerze wypełniony kalendarz zajęć nie sprzyja oczywiście kultywowaniu międzyludzkich kontaktów. Wypicie — od czasu do czasu — paru kieliszków wspólnie, to jeszcze nie przyjaźń. Więc też wielu aktorów, o ile mi wiadomo, przyjaźni się obecnie z ludźmi spoza swojej branży. Może to i lepiej. Może to rozszerza ich horyzonty myślowe. Ja np. przyjaźniłam się z filozofem.

— Jak wyglądał start w zawodzie przed wojną, w okresie gdy Pani debiutowała? Co stanowiło wówczas największy problem, a jak — Pani zdaniem — wygląda to dzisiaj?

— Start w zawodzie aktorskim przed wojną zależał głównie od dwóch rzeczy: realnych a nie wyobrażonych możliwości startującego i artystycznej atmosfery spektaklu, w którym brał udział. Niezaprzeczalny autorytet tak wielkich reżyserów jak: Schiller, Weglerko, czy później Wierciński dawał gwarancje, że debiut będzie nie tylko starannie przygotowany, ale i kontrolowany. O reszcie decydowało autentyczne powołanie przedstawienia, no a w tym przysłowiowo tutaj szczęście dla debiutanta. Musiał on bowiem trafić, jak to się mówi, na „swoją rolę”, grać ją jak najdłużej i stać się wreszcie niezbędnym instrumentem w teatralnej orkiestrze. Ponadto trzeba podkreślić, że naprawdę dobrze zagrana rola owocowała wówczas nie tylko moralnie — prestiżowo, ale i materialnie. Nawet umiemy oszczędzać — dyr. Arnold Szyfman po roli Solange w „Leclie w Nohant” sam podniósł swoją gaźkę — to znacznie. Obecnie „za gaźkę” jest niestety „sztywna”. Bez względu na powodzenie roli, a tzw. nadnormy grają raczej niepewnie. Co do debiutów aktorskiej młodzieży w zawodowym teatrze, to teraz noszą one raczej charakter przypadkowy i na ogół mijają bez echa. Reżyserzy współcześni miewają tzw. pomysły, ale rzadziej umieją zrealizować je współpracując z aktorem. Mimo to jednak wierzę, że i teraz prawdziwy talent zawsze się wybił.

— Bogate życie sceniczne wypełnione wieloma znakomitymi kreacjami sprawiło, iż dość wcześnie została pasowana Pani na królową heroin, pierwszą damę polskiej sceny. Dziś właściwie minęła już moda na heroiny. Teraz miast heroiny jest „Baba-Dziwo”. Nie żal Pani trochę tamtego świata?

— Moda na heroiny dramatyczne nigdy całkowicie nie wygaśnie z tej prostej przyczyny, że największa dramaturgia świata na nich bazuje. Nie ma wielkiego teatru bez Szekspira, Schillera Goethego, Słowackiego, Lorke. A przecież stamtąd były i moje heroiny. O ileż barwniejsze i biekawsze jest życie sceniczne takiej Marii Stuart w porównaniu z papierowymi postaciami współczesnych wypracowań albo i produkcjaniaków. Dla każdej myślącej aktorki nadchodzi jednak taki moment, kiedy upiów czasu każe się jej zastanowić nad dalszą swoją ewolucją w zawodzie. Nie wolno się przecież „mumifikować”. Trzeba się odmieniać, żeby rosnąć, żeby żyć. I cóż by mi przyszło gdybym teraz zagrała 21 królową? Natomiast sama pani wie, że kilkunastu lat



Fot. L. DZIKOWSKI

## NINA ANDRYCZ:

# Nie można spocząć na laurach

kołunka Dulskiej i gościnne z nią występy — otworzyły mi dostęp do zupełnie nowych ról, nowych wcieleni. Pyta pani czy żał mi artystycznej przeszłości, owej galerii heroini? Rozumowo biorąc — nie, ale jeszcze czasem żni mi się np. rozpaczająca Kleopatra, którą — notabene — położyła bez miłosierdzia nie znana mi angielska aktorka nie tak dawno w tamtejszej tv. Mnie natomiast, razem z całym zespołem Teatru Kameralnego, najbardziej cieszy w

— Nie muszę chyba nikogo przekonywać, że od dawna wybrałam teatr. I nie żałuję. Nawet pomimo pewnych kryzysowych chorób współczesnej sceny. Kontaktowi bowiem z żywymi odbiorcami mojej sztuki na widowni, którzy co dzień inaczej reagują, nie zastąpią żadne wyczyny tzw. w branży „sztuk mechanicznych”, gdzie się ma do czynienia z fotografią aktora. Naturalnie to nie oznacza, że nie cenię olbrzymiego rezonansu grania, np. w Teatrze

Pani podróży. Czyby między jednym a drugim tomikiem zmieniała Pani osobowość poetycką, czy też...?

— Wierszy nie można i nie trzeba objaśniać. Pisał o tym bardzo pięknie Andrzej Malraux. Każdy czytelnik ma prawo rozszyfrowywać np. taki mój wiersz jak „Horoskop” na swój sposób, według własnych kryteriów, jeśli je ma, lub po prostu według swojej wrażliwości. Debiutowałam tomikiem „To teatr” tylko dlatego, że usлуchałam rady największego autorytetu w sprawach poezji Jarosława Iwaszkiewicza. Po wysłuchaniu moich wierszy pan Jarosław orzekł, że po pierwsze warto są dźwięki, a po drugie, że rozsądniej będzie zacząć od tematyki, którą ogromna większość społeczeństwa wiąże z moim nazwiskiem, tzn. od teatru. Ale to hasło wywoławcze wcale przecież nie oznacza, że i w tym pierwszym tomiku nie słycać głosu człowieka, który kocha, choruje czy rozpacza, bez względu na swoje aktorskie zajęcia. Czy pisałamby gdybym nie była aktorką? Tak niewątpliwie, bo pisać zaczęłam bardzo dawno, tylko gdybym nie była aktorką, to wcześniej zaczęłabym publikować. Drugi tomik — Bogu dzięki! — równie szybko znika z półek jak pierwszy. Może ludziom — czytelnikom potrzebna jest moja głęboka i niezachwiana wiara w mi-

łość... A jeśli w tej chwili nie jest ona — przepraszam za wyrażenie — modna, to chyba tym bardziej cenna.

— Wiem, że trzeci tomik czeka na ukazanie się w Wydawnictwie Literackim w Krakowie. Jak go Pani nazwała?

— „Rzeka-Rozłąka”. Jest on mi psychicznie może najbliższy ze wszystkich trzech, choć napisany został dawno.

— A następny, czwarty?

— Nosi tytuł „Nie-Antygoona” i poświęcony jest również tematyce nie mającej nic wspólnego z teatrem. Nie mogłam się z nim wcześniej wybrać do wydawnictwa tylko dlatego, że spektakl „Baba-Dziwo”, w którym występuję absorbował mnie bez reszty. Natomiast pewien satyryczny wiersz z tego tomiku pt. „Doktor Faust” mówiłam na moim wieczorze autorskim w klubie MPiK. Nietrudno się zorientować, że w tym wypadku aktorka zajęła pozycję służebną wobec autorki. A partnerem była zebrana publiczność.

— Nie tak dawno powiedziała Pani, że ma dobry tekst, którego autorem jest noblista i że ma Pani ochotę zagrać ten tekst w tv. Co to za tekst?

— Noblista to sam Faulkner, którego „Dzikie palmy” były swego czasu dużym wydarzeniem w teatrze naszej tv. A czy teraz zagram ten tekst, za którym przepadam? Odpowiem pani nieco później, bo jestem dopiero w trakcie pertraktacji z tv. Niewykluczone więc, że Faulknera poprzedzi inna pozycja, może nawet łatwiejsza, dla tzw. masowego odbiorcy.

— Podobno twierdzi Pani, iż obecnie mężczyźni kochają kobiety, a kobiety mężczyzn. Czyby to w związku z ostatnią rolą „Baby-Dziwo”?

— Niekoniecznie. Wprawdzie dla Baby-Dziwo musiałam ścinać swoje długie włosy, włożyć nieco za szeroki mundur i także spodnie, aby nie podkreślać walorów kobiecych — czyli wyraźnie zmężniałam. Natomiast kilku moich przyjaciół mężczyzn zaczęło używać już nie wody kolońskiej, tylko zdecydowanie kobiecych perfum. Hm... Coś w tym jest.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała  
TEMIDA  
STANKIEWICZÓWNA-  
-PODHORECKA

**NINA ANDRYCZ**, aktorka Teatru Polskiego w Warszawie (od 50 lat w tym samym teatrze). Stworzyła wiele znakomitych kreacji zarówno w okresie przedwojennym (m.in. Solange w „Leclie w Nohant” J. Iwaszkiewicza) jak i po wojnie. W jej dorobku artystycznym są role wielkich heroini (m.in. Maria Stuart), a także role w repertuarze współczesnym (m.in. „Moralność pani Dulskiej”, G. Zapolskiej, „Maestro” J. Abramowa, „Błędną u hrabiny Katalubaj” W. Gombrowicza). Nie zabrakło też znakomitych kreacji w Teatrze Telewizyjnym (m.in. „Dama Kameliowa”, „Anna Karenina”, „Madame Bovary”, „Dzikie palmy”). Ostatnio stworzyła aktorka wielką rolę w „Babie-Dziwo” M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Pochadła Nina Andrycz jest autorką dwóch tomików poetyckich, a następne ukażą się niebawem w księgarniach. **TLS**

tej chwili żywy oddźwięk publiczności nagradzającej oklaskami pouczające dzieje dyktatorki, którą gram. Ambitna aktorka musi zdobywać widownię i afirmować się dziś i teraz, a nie spoczywać na laurach, choćby nie wiem jak atrakcyjnej przeszłości.

— Dzisiaj aktorzy bywają „uniwersalni” — teatr, film, telewizja, kabaret, estrada, piosenki. Wszystko. Jaki jest Pani stosunek do owej „uniwersalności”?

— Ale czy tacy naprawdę istnieją? To że jeden czy drugi produkuje się w kilku pokrewnych dziedzinach sztuki wcale nie znaczy, iż los obdarzył go geniuszem Leonarda da Vinci. Zresztą lubię wszystko bez wyjątku to nawet trochę podejrzanym objaw. I może taki co w pośpiechu uprawia wszystkie dyscypliny — żadnej nie kocha naprawdę. Oczywiście, nie chcę przez to negować cichych realnych kroków w kierunku wszechstronnego rozwoju swego talentu. Ale przecież wewnętrznie, choćby dla siebie samego artysta zawsze coś dla siebie wybiera i coś uprawiać woli.

— Pani nazwisko wiąże się przede wszystkim ze sceną. Owszem, jest też telewizja, radio, a ostatnio nawet dwa tomiki poetyckie. Natomiast nie było i nie ma Pani w filmie? Dlaczego?

TV. Pisałam zresztą o tym w „Ekraniu”. A co do filmu, o który często mnie pytają dziennikarze, chyba uznać należy, że po prostu nie miałam dość szczęścia. Najbardziej zafrapowała mnie niegdyś możliwość współpracy z niezłym już reżyserem Aleksandrem Fordem, no a później z Andrzejem Wajdą. Niestety, obie nie doszły do skutku. Zagrana zaś żądała perfekcyjnej znajomości angielskiego, której nie posiadam, no i wyjazdu z kraju, który w ogóle nie wchodził w rachubę (grałam wtedy Joannę Shawa w Teatrze Polskim). Tak oto widzimy, że i w moim „udanym” życiu, jak to stwierdził niedawno pewien recenzent, wśród 50 lat ciężkiej pracy zdarzają się pewne luki.

→ Pierwszy tomik Pani poezji bazował na tematyce teatralnej. Czerpał z ducha teatru. Zapewne gdyby nie była Pani aktorka nigdy nie zaczęłaby Pani pisać. Jednak drugi tomik przeczy temu. Jest on utrzymany bowiem w bardzo osobistej tonacji, jest w pełni autonomiczny, nie wymaga tzw. teatralnych preferencji. Nie potrzebuje sceny jako przepustki do świata przeżyć poetyckich. Część wierszy brzmi tutaj niczym pleśń o miłości wielkiej, tragicznej. W pozostałych, tak gdzieś od połowy tomiku widac wyraźne zafascynowanie